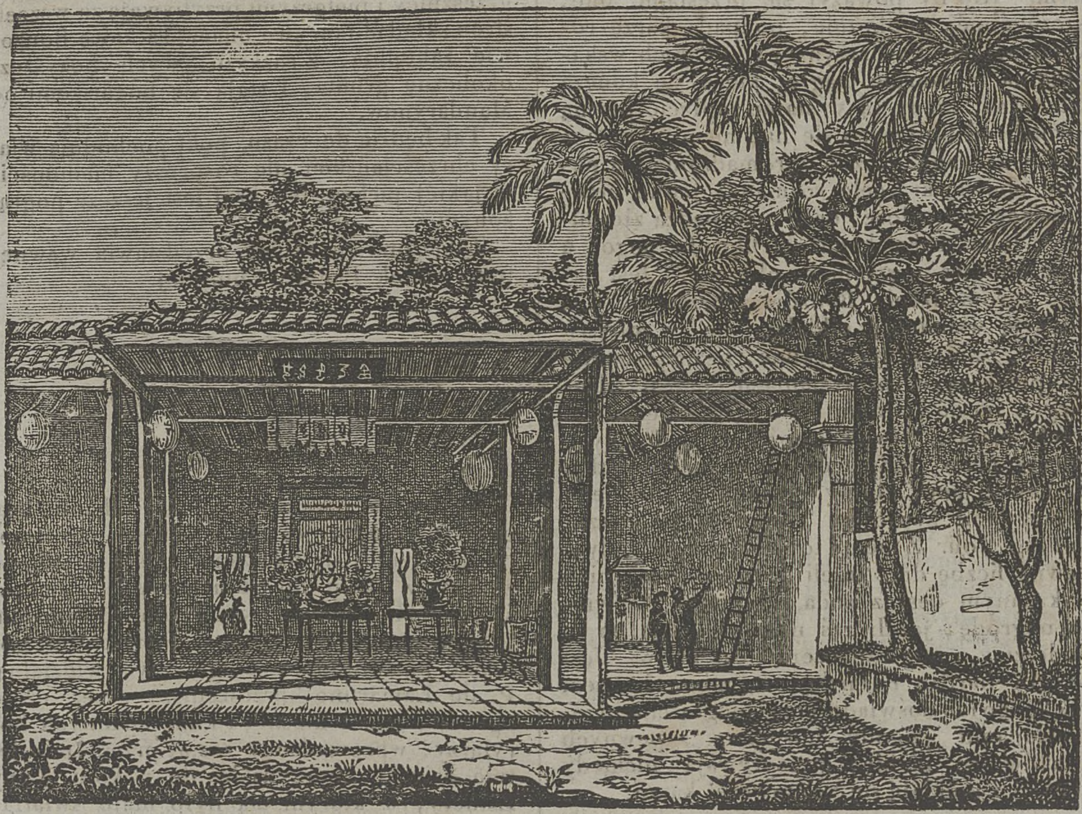


PAGODY CHIŃSKIE.

W głębi Azyi, z tamtéj strony krain zamieszkałych przez hordy Tatarów koczujących, a powyżéj Indyi, znajduje się cesarstwo Chińskie. Dzieje tego ogromnego państwa nikną w pomroce czasu; wzbraniając sobie zawsze wszelkich związków z innemi ludami, niby jakowego świętokradztwa, winno li tylko samemu sobie postęp, jaki uczyniło na drodze cywilizacyi. Postęp ów był powolny, ale stateczny; nie przytrafiło się ludowi temu dopuścić zatracenia wynalazku jakowego, któryby w kilka wieków późniéj był znowu odkryty. Znał on, o wiele wcześniéj przed nami, skutki prochu strzelniczego, druk i mechanikę; ale u niego wszystko pozostało niewydoskonalone i prawie w stanie pierwiastkowym; ztąd téż mówią, że Chińczycy wynajdują przypadkiem, a przechowują nałogiem. Możnaby o nich powiedzieć, że nie umieją ani czynić odkryć, ani doskonalić, ani zapominać. Jakżeby mogło być inaczéj, kiedy to samo prawo, które zabrania wszystkim cudzoziemcom wstępu na ziemię chińską, skazuje na śmierć każdego Chińczyka, któryby kusił się wydalić z kraju. Nie wiedzą więc o niczém prawie, co się w około nich dzieje, a ich uczeni na początku ostatniego wieku byli jeszcze tego mniemania, że ziemia jest czworokątna i że Chiny zajmują świetnie jéj środek.

Tam, jak i we wszystkich krajach gdzie chrystyanizm żywego i łagodnego nie rozlał jeszcze światła, rządzą ludźmi przesądy i zabobony, z wielką starannością przekazywane potomkom. Religią ich, któréj przepisy i obrzędy nie są w Europie dostatecznie znanemi, składa wszystko to, co tylko fanatyzm i zabobonność najdziwaczniejszego wymyślić mogły. Bonzowie oddani usługom ołtarza, nauczają Metempsykozy czyli przechodzenia dusz w inne twory; grożą, zaniedbującym dawać im jałmużnę, że widzieć będą dusze własne przez długi lat szereg przechodzące stopniowo w ciała najbardziéj widokiem swym odrażających zwierząt; a przeciwnie miłosierdni dla nich, odwiedzający często Pagody dla złożenia bogatych darów, ujrzą dusze swoje przyobleczone ciałami istot najszlachetniejszych i najpotężniejszych.

Bonzowie zostający w wielkiém poszanowaniu u chińczyków okazują na miejscach publicznych łagodność i pokorę. Poddają się największym umartwieniom, i przyjmują obowiązek, lecz za opłatą, żałować za grzechy swych bliźnich, pokutą nadzwyczajną. Znaczna ich liczba żyją wspólnie w zgroma-

dzeniach i ulegają surowym przepisom karnym. Kto by poważył się przestąpić one, szczególniéj publicznie, podpada karze równającéj się barbarzyństwu. Takich wskazują na męczarnie ciągłe, które się kończą wtenczas, kiedy są w stanie zapłacić pewną kwotę, od litujących się nad niemi przechodniów zebraną. Każde zgromadzenie ma pewne obowiązki i cele rozmaite; jedno przepowiada przyszłość, drugie wypędza złe duchy, inne szuka kamienia filozoficznego, a inne odbywa pogrzebowe obrzędy. Jest nawet zgromadzenie Bonzów żebrzących. Ci, nie żyją wspólnie, oddalają się w miejsca dzikie, zamieszkują jaskinie, bezprzestannie zatopieni są w rozmyślaniach, przeszkadzających im do starania się o zaspokojenie potrzeb ciała; łatwowierność dobrodusznych mieszkańców zaopatruje ich we wszystko. Są nawet tacy, którzy czynią się władnemi rozkazywać żywiołom i sprowadzać deszcz podług woli. Z niemi to robią się zakłady o pewną liczbę dni. Jeżeli w czasie przez nich wskazanym deszcz pada, otrzymują umówioną nagrodę; jeżeli zaś nie, wyliczają im na podeszwy u nóg oznaczoną ilość kijów. Jest to gra bardzo hazardowna, mimo bowiem wielkiego ich doświadczenia i biegłości w przepowiadaniu pogody lub słoty z pewnych znaków na niebie, przegrywają niekiedy stawkę i poddają się poprawczéj karze.

Znaczna część Bonzów żyje w Pagodach, które są pewnym rodzajem karawan-serajów, służących za przytułek podróżnym a za cel pielgrzymom. Niezliczona tam liczba małych bożyszcz ustawiona jest wzdłuż muru w framugach na to przeznaczonych. Każdy z przybywających bije czołem przed bożyszczem, któremu zaufał. Żeby zaś zjednać sobie łaskę jego, nie zapomina nigdy złożyć jaką ofiarę. Pośród głównéj sali znajduje się albo postawiony na ołtarzu, albo wyniesiony na podstawce bożek, któremu poświęcona jest świątynia. Zwykle bywa on większy jak inne, ale dla otrzymania względów jego, potrzeba téż i darów znakomitszych. Kadzidła palą się w naczyniach kruszcowych, a lampy owalne, zawieszone u sufitu, goreją bezprzestannie na cześć umarłych. Ołtarz i główniejsze ozdoby Pagody są czerwone, ten bowiem kolor zachowany jest dla rzeczy świętych.

Bonzowie zawsze są obecni, dla objaśnienia przymiotów bożyszcz i dla zalecenia ich uczczeniu do wiernych. Tu to Bonzowie targują się o pokutę dobrowolnie sobie zadać się mającą; tu zobowiązują się poddać karom szczególnym i najdotkliwszym, stósownie do ważności przewinień, albo raczéj do zamożności grzesznika, — a karami temi są: niespać przez dni ośm, stać przez dni trzy na jednéj nodze, nie używać jednéj z rąk przez kilka miesięcy.

Są Pagody słynne z kuglarstw. Chorzy, grzesznicy i pielgrzymi przybywają ze wszech stron składać tam swe ofiary, za które Bonzowie zakupują, z rozkazu swych bożyszcz, okoliczne grunta, i stają się bogatszemi od Mandarynów.

Tak będzie do czasu, póki pochodnia wiary chrześciańskiéj nie rozproszy ciemności, w jakiéj piękny ten kraj jest jeszcze pogrążonym.

Załączona tu rycina przedstawia wewnętrzny widok Pagody Chińskiéj.

LADY ESTHERA STANHOPE.

(*Dokończenie.*)

Wśród skał i wąwozów u stóp Libanu, leży góra Dyjonu; na jéj stoku kilkaset sążni szerokim, wznosi się mieszkanie Lady Stanhope złożone z 10ciu do 12tu małych domków śród pięknéj murawy i starannego ogrodu. Podług swego zwyczaju, dopiéro o 4téj godzinie po południu mogła być widzialną. P. de Lamartine, przeszedłszy przez część ogrodu, przez kioski, i kilka ciemnych korytarzy, wprowadzony został przez 7mio letnie dziecko murzyńskie do pokoju Lady Esthery, w którym tak było mało światła, że z trudnością mógł dojrzeć szlachetnych, poważnych rysów jéj twarzy. Ubrana w stroju oryentalnym, wstała z kobierca i podała gościowi rękę. Lady Esthera zdawała się mieć lat 50, nie jest młodociannéj przemijającéj piękności, ale twarz jéj przybrała już rysy i wyraz, które z latami się nie zmieniają. Na głowie miała turban biały; na czole przepaskę z włóczki czerwonéj, spadającą po obu stronach twarzy aż do ramion; wielki szal kaszmirowy żółtego koloru, okrywał szeroką jedwabną białą suknię turecką z otwartemi rękawami, przez które widać było drugą suknię pod spodem z perskiéj materyi w kwiaty, spiętą u szyi klamrą z pereł; buciki haftowane tureckie z żółtego safianu dopełniały jéj ubioru. Mile przywitawszy Pana de Lamartine, rzekła, iż czyta w gwiazdach jego przeznaczenie, że gotowa jest nawet odkryć mu jego przyszłość; lecz na odpowiedź gościa iż nie żąda wiedzieć tego, co mu bóstwo zataiło, starała się mu dowieść jak mocno nauka astrologii jest na Wschodzie zgłębioną; że w niéj zupełną pokłada wiarę, że zna swoje przeznaczenie, które musi się spełnić, że gwiazda jego (Lamartina), przeznaczyła go także do działalności w zmianach społeczeństwa wydarzyć się mających.

Podczas takowéj rozmowy, z dowcipem i żywością prowadzonéj, wszedł do pokoju Murzyn, ukląkł przed Panią a zakrywszy

twarz rękami i oparłszy czoło o kobierzec, powiedział kilka słów po arabsku; poczém Lady Stanhope rzekła, iż obiad dano i prosiła Pana Lamartina by się posilił, dodając: „ja nigdy z nikim nie jadam, żyję nad„to wstrzemięźliwie, abym moich gości do „dyety przypuszczać mogła; chléb i owoce, „w chwilach gdy potrzeba czuć się daje, są do„statecznym dla mnie posiłkiem.“ Ledwo dokończył obiadu, doktor Leonardi przyszedł zaprosić gościa do swojéj Pani. Zastał ją palącą tytuń z długiego wschodniego cybucha, podano mu także fajkę i przez długi czas rozmowa ciągnęła się w podobnym, jak przedtém, przedmiocie. Wypaliwszy po kilka fajek, i wypiwszy po kilka filiżanek kawy, którą co kwadrans murzyni przynosili, Lady Esthera powiedziała: „Zaprowadzę WCPana do przybytku, do którego nikogo nie wpuszczam, to jest do mego ogrodu.“ Rzeczywiście ogród ten jest czarodziejski; wszystko cokolwiek uprzyjemnić może ogrody angielskie, francuzkie, tureckie, wszystko to w nim się znajduje. Potém Lady Stanhope otworzyła drzwiczki boczne, wprowadziła gościa do małego dziedzińca na którym były dwie prześliczne klacze arabskie i rzekła: „zbliż się WCPan i przypatrz się téj gniadéj klaczy, przekonaj się czyli natura nie spełniła na niéj tego, co napisano jest o klaczy, na któréj ma jeździć mahometański Messyasz —*Ona się urodzi zupełnie osiodłaną.*“ W istocie, piękne to zwierze, miało z natury na grzbiecie wklęsłość szeroką i głęboką, zupełnie podobną do siodła tureckiego; strzemion tylko brakowało; można więc było powiedzieć że osiodłaną się urodziła. Nikt na téj klaczy nie jeździ; dwaj niewolnicy ciągle są przy niéj i z oka jéj nie spuszczają, a Lady Stanhope ma dla niéj największe uszanowanie. Druga klacz biała, jeszcze piękniéjsza, podziela z gniadą względy swojéj Pani, która daje do zrozumienia, że sama na téj klaczy, obok Messyasza, wjazd do Jeruzalem odprawi.

Wrócili potém do pokoju, gdzie kawę i fajki znowu roznoszono. Postać Lady Stanhope ukazywała się tylko pośród kłębów wonnego dymu, jak gdyby w czarodziejskiéj atmosferze wyroczni. Rozmawiała o rozmaitych przedmiotach, w których zawsze wyższość jéj rozumu spostrzegać się dawała; z dziwną trafnością odmalowała charaktery dwóch znajomych Pana Lamartina, których przed 15tą laty widziała. Lecz szczególném jéj upodobaniem były rozumowania mistyczne, wzniosłe, obłoczyste, które ciągle popierała z mocą i ze związkiem należytym. Wkrótce nastąpić mające przeistoczenie społeczności, jéj własne wysokie przeznaczenie, i tym podobne rzeczy, były główniejszemi przedmiotami jéj rozmowy; między innemi powiedziała: „Ja spokojnie oczekuję na moje przeznacze„nie; starzeję się, uszczupliłam znacznie mój „majątek; jestem teraz samotna i opuszczona „na téj pustéj skale; wystawiona na napaść „piérwszego zuchwalca, któryby chciał moje „drzwi wyłamać; otoczona zgrają niewiernych „służalców i niewdzięcznych niewolników, „którzy mnie ze wszystkiego ogołacają i cza„sami na moje życie nastawają; niedawno „winna jestem ocalenie moje temu sztyletowi, „którego użyć musiałam aby obronić moją „pierś od ciosu murzyna, wychowańca mo„jego! Z tém wszystkiém śród tych mnogich „przeciwności, jestem szczęśliwa; odpowiadam „na wszystko świętém słowem muzułmanów „*Allah-Kenim! Wola Boga,* i z ufnością cze„kam na przyszłość.“

Pan de Lamartine mówi o Lady Stanhope, że ona ma swoje przyczyny dla okazywania się dziwaczną. Nadzwyczajne uwielbienie jakie własnym jeniuszem zjednała i jedna sobie u Arabów otaczających góry Libanu, tłómaczy dostatecznie trwanie jéj w tém dziwactwie; jest to jedyny sposób na ujarzmienie umysłów tamtejszych ludów; gdyż dla mieszkańców téj ziemi cudów, tych skał i pustyń, których widok jest bardziéj rozmaity i zajmujący aniżeli horyzont piasków i morza, potrzeba głosu Mahometa, lub Lady Stanhope!, potrzeba styczności z gwiazdami, z proroctwami, z cudami, i ze wzrokiem jeniuszu! —Lady Stanhope pojęła to bystrym swoim i prawdziwie wyższym dowcipem; a być może, jak to się często zdarza osobom wielkich talentów, że sama się nakoniec złudziła, i wyznaje teraz wiarę, którą dla innych utworzyła. Nic by dziwnego nie było, dodaje P. de Lamartine, gdyby przy piérwszych wstrząśnieniach politycznych na Wschodzie, ziściło się jedno z przeznaczeń, które sama sobie zapowiada, t. j. *Cesarstwo w Arabii*, lub *Tron dla niéj w Jeruzalem.*

Późno w nocy, Lady Stanhope pożegnała z uprzejmością swojego gościa, w tych słowach: „Będziemy się często widywać, i w teraźniejszéj „podróży, i w tych podróżach o których je„szcze nawet nie pomyślałeś.“

GIEŁDA W WALENCYI.

Walencya należy jeszcze do najludniejszych i zamożnych miast Hiszpanii; jest stolicą królestwa tegoż nazwiska. Widok jéj wszakże obudza w podróżnym smętne uczucia, przywodząc na pamięć dawniejszą świetność tego miasta, krocie jego mieszkańców, bogactwa jego składów handlowych, wreszcie jego uroczystości i znaczenie pod panowaniem arabskich i hiszpańskich władców. Tu wznosili kolejno Rzymianie, Gotowie, Maury i Arragoni, najwspanialsze pomniki. Czas lub ręka zdobywców zburzyła je i w gruzy rozsypała; ale dotąd jeszcze natura całą okaza-

łością swoją zdobi tę okolicę. Pogodne zawsze niebo, bujna i bogata roślinność, starannie uprawna ziemia, i wielka obfitość wód czynią istotnie Walencyą ogrodem Hiszpanii. Za panowania Maurów doszła Walencya najwyższéj świetności. Zwycięztwa, przez które dostała się w moc chrześciańskim władcom, nie były dla niéj pomyślnemi. Wszakże Jakób I król Arragoński, równie znakomity wódz jak prawodawca, umiał ocenić sprzyjające handlowi położenie tego miasta; zaludnił na nowo spustoszałe jego mury, urządził cechy czyli zgromadzenia rzemieślnicze, zaprowadził sądy i zbudował dla kupców pałac, w którym pod opieką trybunału handlowego sprawy swoje załatwiać i do wspólnych przedsięwzięć łączyć się mogli. Pałac ten zowie się teraz Giełdą. Po trzechset latach budowa ta około 1482 zawaliła się, lecz Ferdynand katolickim zwany, kazał ją odbudować i pierwotnemu przeznaczeniu oddać. Widok jéj przedstawimy w jednym z następnych Numerów naszego Magazynu.

Obszerny i nieforemny ten gmach łączy w sobie znamiona starożytności z oryginalnością i wytworem kształtów gotyckiego stylu, i słusznie uważanym jest za uczący pomnik gocko-arabskiéj architektury.

Główny front Giełdy składają dwie rozmaite części połączone czworoboczną wieżą z pośrodka wznoszącą się. Lewa strona jest ogołocona z ozdób aż do dwóch trzecich swojéj wysokości; tu dopiéro poczyna się długa galerya malowniczo wykonana. W nadoknach kończatych, misternie wyrobionych, mieszczą się między małemi kolumnami popiersia i herby arragońskich i kastylskich królów. Prawa strona wieży, w górnéj części jest całkiem bez ozdób; te niżéj dopiéro zaczynają się, i tak pod względem rysunku jak i roboty wysoką mają wartość. Szczyt obu części zdobią blanki albo szczerby, które dla oczu widza zwiększają wrażenie, jakie dziwna ta i okazała budowa sprawia.

Wspaniałe schody prowadzą do środkowéj sali, 150 stóp długiéj a 80 szerokiéj. Jest to właściwie giełda czyli *zbiornia* kupców walenckich. Szereg lekkich, skręconych kolumn maurowskiego stylu, otacza ją w około, na nich spoczywa wyniosłe sklepienie. Obok téj sali jest izba posiedzeń sądu handlowego, potém kaplica, bogata w obrazy celniejszych mistrzów, nareszcie rozległy cienisty ogród zasadzony drzewami pomarańczowemi.

Na placu przed giełdą znajduje się wodotrysk; byłoby to miejsce najpiękniejsze w Walencyi, gdyby ztamtąd uprzątniono kilka zestarzałych i lichych domków szpecących plac, przy którym stoją piękny kościół S. Jana del Mercado, w gotyckie rzeźby bogaty, i obszerny klasztor S. Magdaleny.

WYRABIANIE KWASU BORAXOWEGO W TOSKANII.

Doświadczenia uczynione w r. 1778 przez dwóch chemików włoskich okazały, że para dobywająca się z rozpadlin wulkanów Toskańskich, zawiera kwas boraxowy. Francuz nazwiskiem *Larderel*, korzystając z tego odkrycia, zebrał znaczną ilość takiego kwasu. W tym celu, dla łatwiéjszego połączenia z wodą téj pary mającéj odor kwasu siarczanego, kazał na około rozpadlin z których się dobywa, w odległości 100—150 stóp od nich pokopać rowy 20—25 stóp głębokie; te obmurował i napełnił wodą słodką. Gorąca para dobywające się gwałtownie z rozpadlin ogrzała wodę tak mocno, że cieplomierz Reaumura przeszło 75 stopni okazywał. Woda ogrzaną tak była przez dni kilka, poczém dopiéro płyn szlamisty i czarny sprowadzono z rowów do obszernego wodozbioru dla ustania się. Następnie czysty płyn odparowano nieco w płaskich kotłach, a potém wlano go w blaszane naczynia, w których kwas boraxowy krystalizował się po 48 godzinach.

Chcąc przy fabrykacyi téj, o ile tylko można oszczędzić kosztów i pracy, P. Larderel wystawił osobne do tego piece z płaskiemi blaszanemi kotłami, ogrzewane parą wulkanów, która przy dobywaniu się z rozpadlin 120 stopni ciepła okazuje. Tym sposobem odparowanie odbywało się w 24 godzinach.

Nie mogąc już wcale powątpiewać o pomyślnym skutku swego przedsięwzięcia, Larderel nabył wszystkie grunta na których znajdowały się rozpadliny wulkaniczne; pozrównywał góry, przekopał ziemię aż do znacznéj głębokości, pomnażając przez to liczbę otworów parę zionących; założył drogi, wystawił obszerne budowle na umieszczenie pieców, kotłów, naczyń do krystalizacyi i aparatu do suszenia. Para naturalna wulkanów użytą jest we wszystkich tych zakładach, jako siła poruszająca, a razem zastępująca materyał palny. Takich fabryk dotąd jest ośm, dostarczają one do roku 12,000 centnarów kwasu boraxowego, z którego w saméj Liwornie 2000 centnarów co rok rafinuje wielki zakład tam się znajdujący. Przez to zmniejszył się znacznie dowóz zagranicznego boraxu, który dawniéj morzem do Toskanii wprowadzano.

Borax używany bywa w medycynie; lecz największe jego użycie jest w lutowaniu i topieniu kruszców, w nadawaniu kolorowych szmelców i metalicznych pokostów, w rozpuszczaniu emalij. Używa się także do wyrobu sztucznych dyamentów, do białego szkła kryształowego, do polewy na miedzi, na blasze żelaznéj i naczyniach garncarskich, do nabijania złotem, i do farb w malowaniu na szkle i porcelanie.



ŹRÓDŁO RZEKI AIR W ANGLII.

Do najdziwniejszych widoków natury w Anglii należy bezwątpienia źródło małéj rzeczki Air, w Gordale, w hrabstwie Jorku. Widok źródła tego przedstawiony z całą prawdą na dołączonéj rycinie, zdumiewa nawet tych podróżnych, których wzrok oswoił się z najwspanialszemi obrazami natury w Ameryce południowéj lub Indyjach.

Źródło to znajduje się w okolicy dzikiéj, i gorzystéj, zajmującéj kilkomilową przestrzeń. W środku między dwiema zbiegającemi się dolinami leży wieś Malham samotna i malownicza. Powyżéj nieco, w północnéj dolinie rozlewa swoje kryształowe wody małe jezioro, sławne z poławianych tam pstrągów. Ku zachodowi wznosi się olbrzymia ściana Wapienia, bez żadnéj przerwy ani rozpadliny, trzysta przeszło stóp wysoka, zwana *Malham-Cove*, która, jakby naturalny wał, zamyka dolinę Gordal. Ztąd o pół godziny drogi na wschód znajduje się właśnie miejsce, w którém rzeczka Air (wpadająca potém do Humber) bierze swój początek. Jeden z ukrytych odpływów jeziora Malham, utorowawszy sobie drogę wprost na skalisty ów wał zamykający dolinę, przez długi czas wzbierał tam swoje nurty i podmywał skałę; aż wreszcie przed stem laty udało się mu pokonać tę zaporę. Nagłą ulewą wezbrane wody małego strumienia, z nadzwyczajną gwałtownością przerwały podmywaną od wieków skalistą groblę, i ułomkami jéj zasypały znaczną prze-

strzeń niższéj doliny. Z tego to wodospadu powstaje rzeka Air. Gwałtowny strumień, po zwyciężeniu głównéj przeszkody, spada na odwisłą skałę 50 stóp wysoką, pod której sklepieniem stawają zwykle widzowie dla przypatrywania się wodospadowi. Całkowita jego wysokość 150 stóp wynosi; po przyległych skałach pasą się kozy ogryzając rosnące gdzieniegdzie krzewy, a po nad wodospadem bujają ciągle w powietrzu orły i drapieżne ptaki, zapewne szumem jego zwabiane.

KOPALNIE DYAMENTÓW W INDYACH WSCHODNICH.

Podług najnowszych podróżo-pisarzy cztery szczególnie kopalnie dyamentów w Indyach Wschodnich są jeszcze, tak jak i dawniéj, przedmiotem chciwości ludzkiéj. Sposób dobywania i szlifowania tam dyamentów oraz handel temi drogiemi kamieniami w niczém się nieodmieniły od czasów Tawerniera francuza, który w wieku 17tym Indye zwiedzał. Najdawniejsza kopalnia znajduje się w Analkonda o cztery drogi od Golkondy w Królestwie Wizapur. Powiadają że przed 400 laty odkrytą została.

W okolicach Analkondy grunt jest piaszczysty, pomieszany z ułomkami skalistemi, w których natrafiać można często żyły 3—5 linij grube, zawierające w sobie dyamenty oblepione gliną i piaskiem. Żyły te dobywają się narzędziem umyślnie na to przysposobioném, a to co w nich się zawiera, wsypuje się w szklanne naczynia dla szukania potém dyamentów.— W bliskości kopalni mieszka bardzo wielu szlifierzy dyamentów. Tawernier, który sam drogiemi kamieniami handlował i którego za znawcę w tym względzie uważać należy, utrzymuje, że Indyanie nie umieją dyamentom nadawać tak świetnego połysku jak europejczycy. Lecz za to piérwsi znają sposoby rznięcia dyamentów, których żaden szlifierz europejski naśladować nie potrafi. Kupcy Indyjscy własnym kosztem najmują ludzi do łamania kamieni, płacąc rządowi po cztery pagody dziennie od 100 robotników. Wydobyte dyamenty przedają innym kupcom prowadzącym handle cząstkowe.

Dziwny to widok, powiada Tawernier, patrzeć na dzieci 5, 10 do 16 lat mające, które siedząc w cieniu drzew na placach publicznych z wielką dokładnością i znajomością rzeczy, dyamenty podług wagi przedają. Dzieci te, z których każde ma szalkę i woreczek, siedzą wszystke razem w koło. Sprzedawca dyamentu oddaje go najstarszemu, jako mistrzowi małego cechu. Ten obejrzawszy pilnie kamień, podaje go swemu sąsiadowi, ten znowu trzeciemu, i tak po kolei, aż nakoniec dyament wraca znowu do najstarszego. Przez cały ten czas żadne z dzieci ani słowa nie mówi. Potém dopiero dziecię najstarsze w kole, zapytuje sprzedającego o cenę, targuje się i nareście kupuje kamień. Wieczorem dzieci oglądają cało-dzienne kupno, gatunkują dyamenty podług wagi lub piękności onych i odprzedają je hurtownikom; następnie dzielą się zyskiem, przyczém najstarsze zarabia zawsze cztery od sta więcéj niż inne dzieci. To wszystko i teraz jeszcze ma miejsce. Kupno dyamentów u hurtowników odbywa się z tajemniczą uroczystością i z wielką przebiegłością. Kupujący i przedający siedzą naprzeciw siebie ani słowa nie mówiąc. Kupujący bierze za rękę przedającego, a sposób w jaki to czyni, oznacza już cenę ofiarowaną. Tak obiedwie strony rozpoczynają i dobijają targ nieprzemówiwszy ani jednego słowa.

Ponieważ dochód z kopalni dyamentowych zawisł najwięcéj od uczciwości osób przybywających dla zakupowania dyamentów, xiążęta przeto indyjscy od dawnego już czasu najściślejszą zaprowadzili tam policyą. Urzędnik dozorujący ważenia dyamentów, strzedz musi wszelkiego oszukaństwa i przemycania. Najznaczniejszym nawet kupcom dodana bywa straż, odprowadzająca ich aż do granicy okręgu. Robotnicy dobywający dyamenty, przy największéj w swéj sztuce biegłości, bardzo źle się mają; w ciągu roku oprócz żywności, ledwie 3 pagody to jest 6—7 talarów zarabiają. Dla utrzymania więc życia muszą ukrywać dyamenty, a niemając gdzie schować zdobyczy, gdyż prawie nago chodzą, połykają takowe bardzo szybko. — O siedm dni drogi od Golkondy leżą kopalnie dyamentów w Kalun, które Indyanie zowią *Ham*. Odkryto je w sto lat później niż kopalni w Analkonda. Wieśniak uprawiając pole dla zasiania go prosem, znalazł błyszczący kamień, zaniósł go do kupca, który wnet poznał iż to był dyament nadzwyczajnéj wartości. Odkrycie to na wszystkich umysłach zrobiło wielkie wrażenie; kupcy połączywszy się z sobą kazali kopać w tém miejscu i znaleźli tam wiele dyamentów, daleko piękniejszych niż gdzieindziéj, po 40 i więcéj karatów ważących. Z tych to kopalni pochodził ów sławny dyament 900 karatów ważący, który niegdyś znajdował się w skarbcu Sułtana Anrengzeba. W kopalni téj, ziemię dobytą na wiérzch ze studzień opłukują i przesiewają przez sito dla oddzielenia dyamentów.— Trzecia kopalnia znajduje się na granicy Bengalu przy mieście *Sumahulpur* leżącém nad rzeką *Honel*, któréj piasek dyamenty zawiéra. Gdy pora deszczów przemija, i wody opadają, około 8000 robotników trudnią się szukaniem dyamentów w piasku rzecznym, idąc przeszło 25 mil w górę rzeki. Robotnicy po samym kolorze piasku poznają miejsca gdzie dyamenty się ukrywają i takowe ogradzają płotem z chróstu; wykopują piasek na dwie stopy głębokości, i przesiewają go podobnie jak w innych

kopalniach przez sita, rzadko jednak trafiać można na duże dyamenty w łożysku téj rzeki. Czwarta kopalnia dyamentów była kiedyś w Karnatyku, lecz jeden z dowódzców Anrengzeba zasypać ją kazał, z powodu że tam kamienie, jak mówią, były żółtawe i nie miały czystéj wody. Natomiast kopalnie w Panteal u podnoża gór Gautskich troskliwie są uprawiane. Leżą one o 45 godzin na południe od Golkondy, a o dwa dni drogi od *Mazulipatam*, przy zbiegu rzek Kissery i Kryszny. Ztąd to pochodzi ów sławny dyament zwany *Pitem* albo Xięciem *Rejentem*, długi 14, szeroki 13 1/4 a gruby 9 1/3 linij. Waży 547 gran czyli 136 3/4 karatów; wartość zaś jego, dla rzadkiéj piękności i wody, podają na półtora miliona talarów.

O STENOGRAFII CZYLI SKOROPIŚMIE U DAWNYCH.

Rękopisma stenograficzne pozostawione nam przez starożytnych i wieki średnie, są kopalnią otwartą dla badań filologów, która mimo trudnego do niéj przystępu, godna jest zająć w najwyższym stopniu uwagę uczonego świata. Zgromadzenie Benedyktynów tak sprawiedliwie słynne, dało już liczne objaśnienia o naturze i ważności tego literackiego skarbu. W jednéj ich rozprawie o dyplomatach czyli rękopismach, czytamy taki ustęp: „Uczeni od pół wieku olbrzymie czynili usiłowania, ażeby wskrzesić język i pismo Etrusków; ale nikt nie posunął się do odgadnięcia *znaków i notat Tirona*. Ileż to rękopisów, albo przypisków stenograficznych na marginesach lub między wierszami pomieszczonych, zaostrzają ciekawość, a niedozwalają onéj zaspokoić. Iluż to liter albo znaków podobnych używano, ażeby przed płochym wzrokiem ukryć ważną tajemnicę! Ileż to dyplomatów gdzie te litery lub znaki skoropisne figurują, są dla nas jakby hyeroglify.“

Przez wyraz, *znaki Tirona*, rozumie się skoro-pismo wynalezione, jak mówią, przez Tirona, wyzwoleńca i sekretarza Cycerona. Plutarch w życiu Katona Utyckiego opowiada: że Cyceron pragnąc posiadać mowy miane w senacie, przez tak znakomitego obywatela, o spisku Katulinowskim: „w tymże dniu przyprowadził z sobą do senatu ludzi świeckich mających w pisaniu bardzo szybką rękę, nauczył ich pewnych znaków i skróceń, które małą liczbą krések znaczyły i wyobrażały wiele liter, i rozstawił ich w różnych miejscach senatorskiéj izby.“

„Taka jest, mówi Auzoniusz, szybkość pisarzy zbierających wyrzeczone mowy na zgromadzeniach ludu i w sądach, że często je ogłaszają godziną wcześniéj, nim ostatnie słowa domówione zostaną. Poeta Marcyalis, rzucający epigrammatami swemi tyle światła na obyczaje i zwyczaje ówczesne, maluje także w sposobie uderzającym, chociaż z mniejszą przesadą, wprawę do jakiéj za czasów jego doprowadzono *stenografią* czyli *skoropistwo*.

Currant verba licet, manus est velocior illis;
Nondum lingua suum, dextera peregit opus.

„Niech lecą słowa, ręka jest chyższą od nich;
„Co jeszcze język nie domówił, to już ręka napisała.

Początek skoropistwa sięga czasów więcéj oddalonych, aniżeli Plutarch mniema. Cyceron używał go zapewne przed spiskiem Katyliny, kiedy bronił Murenę przeciw Katonowi. Ale chociażby nawet sztuka ta była utworem epoki późniejszéj od wskazanéj przez Franceiusa, który w rozprawie swéj *o pismie u dawnych* zapewnia, że powszechny nasz ojciec Adam biegłym był stenografem; można mniemać, że do Rzymu sprowadził ją Tiron, wnosząc z jednego ustępu w Dyogenesie Laercyuszu gdzie powiedziano, że Xenofon już skoropistwa używał. Rodzaj ten pisma upowszechnił się bardzo w średnich wiekach. Odkryto mnóstwo rękopismów z 5-6-7 i z następnych wieków, albo całkowicie stenografowanych, albo napełnionych *znakami Tirona*, marginesowemi lub między-wierszowemi. W epoce odrodzenia się nauk, ściągnęły one wielką uwagę uczonych. Papież Juliusz IIgi, na prożbę kardynała Bembo, skłonił kilku erudytów do zajęcia się ich wyczytaniem; usiłowania ich wszakże spełzły na niczém, do tych bowiem hyeroglifów, jeszcze nie miano klucza we Włoszech.

Na północy powiodło się lepiéj. W 15tym wieku uczony Trytemiusz albo Trittenheim, nabył od Opata zgromadzenia swego, *Lexykon znaków Tirona*; odkrył także w księgozbiorze kapituły Strazburskiéj psałterz stenografowany, który poczytywano za pismo ormiańskie. Za pomocą dwóch tych rękopisów, można już było odcyfrować owe pismo Tirona; ale próby czynione przez Trytemiusza, do żadnych ważnych nie doprowadziły odkryć, i nie spowodowały wydania w tym przedmiocie aż do roku 1817 żadnego dzieła.

W téj dopiéro epoce wyszło na świat w Manhejmie dzieło znakomite P. Kopp, pod tytułem: *Tachygraphia veterum exposita et illustrata. (Skoropistwo dawnych wyłożone i objaśnione.)* Tom piérwszy zawiéra historyą sztuki, rozbiór i skład znaków, jedném słowem grammatykę skoropisną. Tom drugi obejmuje zupełny słownik stenografii dawnych, mieszczący około 12,000 wyrazów albo znaków, porządkiem abecadłowym ułożonych. Ta liczba wystarcza do oswojenia uczącego się z systematem, i stawia go w możności wyczytania *znaków Tirona*.

Znaki te ukształtowane na wzór rzymskiego pisma i wielkich liter greckich, mają niejakie podobieństwo do pisma chińskiego. Składają się z rysów albo krések pionowych, mniéj więcéj pochylonych, połączonych lub

przeciętych, przez jednę lub więcéj krések kształtu i położenia różnego. Niemają wcale podobieństwa do francuzkiéj tachygrafii teraźniejszéj, która zbliża się nieco do pisma arabskiego albo perskiego.

W języku greckim albo łacińskim, gdzie zakończenie wyrazów odmienia się stósownie do rodzaju, przypadku, trybu, czasu i t. d. należało oznaczać te rozmaite zmiany zakończeń tyląż znakami szczególnemi, złączonemi ze znakiem wyobrażającym wyraz źródłowy. Ta jest właśnie przyczyna, dla któréj tachygrafia tych języków jest powolną i więcéj zawikłaną, aniżeli naszych języków nowoczesnych, sprowadzona dzisiaj do najprostszego wyrażenia.



DRZEWO SZADOK.

W Nrze 98 naszego Magazynu Powszechnego umieściliśmy krótki opis drzewa tego, znanego w botanice pod nazwiskiem *Citrus decumana*. Owoc jego, wypełniony białém lub czerwoném mięsem, podobny jest ze smaku do pomarańcz; zewnętrzną zaś postacią i wielkością zbliża się do melonów. Rośnie w Indyach i Chinach, zkąd owoc jego przywożonym bywa do Europy, mianowicie do Anglii, gdzie pod imieniem *owocu zakazanego* jest sprzedawany. Ma smak kwaskowaty, wybornie gaszący pragnienie. Są także niektóre gatunki z owocem słodkim. Postać Szadoku i owoców jego, przedstawiamy tu w rycinie dla dokładniejszego zrozumienia opisu.